

IDA ŻMIJEWSKA
WARSZAWIANKA

IDA ŻMIEJEWSKA
WARSZAWIANKA



Dla Piotra

WARSZAWA, 1885 ROK

ROZDZIAŁ I

1.

W sali odwiedzin X pawilonu wąłła smuga światła z trudem sączyła się przez umieszczone pod sufitem okna, a kraty rzuciły na ściany cienie w kształcie krzyży. Leontyna Rapacka, z trudem powstrzymując łzy, wpatrywała się w okute żelazem odrzwia. Czas, który pozostał do rozpoczęcia widzenia, zdawał się rozciągać w nieskończoność. Dziewczyna poczuła drapanie w gardle, więc sięgnęła po chusteczkę, ale nie zdążyła jej wyjąć, bo usłyszała wyczekiwany odgłos kroków: podkute buty z każdą chwilą coraz głośniejsz stukwały o posadzkę. Jeszcze chwila i drzwi rozwarły się ze skrzypieniem, a dwóch uzbrojonych żandarmów wprowadziło aresztanta.

Odetchnęła z ulgą i uniosła dłoń w geście powitania. Narzeczony natychmiast ją zauważył i nie oglądając się na strażników, dopadł do kraty.

Stali naprzeciwko siebie w milczeniu. Leontyna przycisnęła rękę do piersi, próbując uspokoić serce, i nie spuszczała wzroku z ukochanego. Za każdym razem, kiedy go widziała, wydawał się mizerniejszy. A przecież wysyłała prowiant; oprócz niej więzień nie miał nikogo, kto mógłby się o niego zatroszczyć.

Chciała opowiedzieć mu o tylu sprawach... Często, leżąc w łóżku, układała przemowy, które miały podnieść go

na duchu, ale kiedy tylko przekraczała bramę Cytadeli, czuła pustkę w głowie.

Zresztą w tym okropnym miejscu nie dało się spokojnie porozmawiać. Panna Rapacka przychodziła na widzenia od miesięcy, ale nie mogła przywyknąć, że od narzeczonego oddziela ją nie tylko podwójny rząd krat, ale także żandarm z karabinem, wsłuchujący się w każde słowo.

Najpewniejszym sposobem wymiany informacji pozostawały grypsy dostarczane przez przekupnego żandarma; tyle że o jednej sprawie Leontyna wołała opowiedzieć osobiście. O ile wystarczy jej odwagi.

Czas mijał, a ona nadal bez słowa wpatrywała się w więźnia.

– Oddali ci paczkę? – zapytała wreszcie, starając się, aby głos zabrzmiał naturalnie. – Zmizerniałeś.

– Nieważne. – Uśmiechnął się. – Jestem zdrowy.

– Odrzucili podanie o ślub – rzuciła jednym tchem i uchwyciła się kraty. – Drugi raz.

Zmienił się na twarzy. Miała wrażenie, że coś w nim zgąsło.

– Może to dobrze.

– Nie mów tak. Złożę kolejne. Będę składać do skutku.

Pochylił się i spojrzał jej w oczy. Widziała w tym spojrzeniu i tęsknotę, i zachwyt.

Zawsze patrzył na nią w ten sposób. Od pierwszego spotkania u Mani, koleżanki z pensji, podczas poetyckiego wieczorku, który odbył się kilka dni po jego przyjeździe z Kijowa. Później, kiedy lepiej się poznali, powiedział, że spodobała mu się od pierwszego wejrzenia.

– Zostaw wszystko jak jest – odezwał się zduszonym głosem. – Może nie powinniśmy się pobierać.

– Ignacy! – krzyknęła tak głośno, że spacerujący między kratami żandarm odwrócił się w ich stronę. Pokiwał karcąco palcem.

– Już dobrze – wyszeptał narzeczony. – Zwyczajnie boję się o ciebie.

Leontyna od miesięcy nie przestawała zamartwiać się o wynik śledztwa. Pocieszała się jednak myślą, że jeśli dojdzie do procesu, jej ojciec, świetny adwokat, zrobi wszystko, aby wykazać absurd zarzutów wobec przyszłego zięcia.

Żandarm dał znak, że widzenie dobiegło końca.

– Przyjdę w następną sobotę.

Skinął głową, a potem cofnął się o krok i ruszył za strażnikiem. Leontyna wpatrywała się w niego, dopóki nie zniknął za załomem korytarza. A kiedy drzwi zamknęły się z hukiem, poczuła chłód.

Ze spuszczoną głową wyszła na dziedziniec. Owionął ją jesienny wiatr. Odetchnęła zimnym powietrzem, chcąc pozbyć się z płuc odorów więzienia. Niebo było szare od chmur i padał deszcz. Leontyna naciągnęła kaptur i z trudem – obcasy trzewików ślizgały się po mokrych kamieniach – minęła bramę i przerzucony nad fosą zwodzony most, który oddzielał Cytadelę od drogi wiodącej do miasta. A kiedy znalazła się po drugiej stronie, obejrzała się za siebie. Górząca nad Warszawą budowla z cegły i kamienia od zawsze napawała ją lękiem i gdyby dwa lata temu ktoś powiedział, że będzie tu przyjeżdżać tydzień w tydzień, na pewno by nie uwierzyła. Tym bardziej że wiodła spokojne życie i miała jasne widoki na przyszłość.

Wszystkie plany runęły w ciągu jednego dnia. Okazało się, że nic nie wiedziała o człowieku, którego zamierzała poślubić. Fakt, że czasem zniknął, wcale jej nie dziwił, w końcu Ignacy kończył medycynę w Kijowie. Wiedziała też, że sympatyzował z socjalistami, ale nie pomyślała, że mógł należeć do ich partii. Jak ona się zwała? Proletariat.

W tym samym czasie aresztowano kilkoro innych znajomych i panna Rapacka zaczęła zastanawiać się, jak to możliwe, że wokół niej było tylu socjalistycznych działaczy, a ona nie zdołała tego zauważyć. Dręczyło ją też pytanie, dlaczego nikt nie próbował wciągnąć jej do partii.

W grypsie przysłanym z X pawilonu narzeczony wyjaśniał, że nie chciał jej narażać na niebezpieczeństwo. Że wiążąc się z nią, uległ słabości. Prosił, aby mu wybaczyła i jak najszybciej zapomniała.

Leontyna przepłakała kilka dni, a kiedy nieco się uspokoiła, postanowiła, że go nie opuści: w rodzinie Rapackich kobiety nie zostawiały swoich mężczyzn, niezależnie od okoliczności.

– Amen – powiedziała do siebie.

Odpędzając od siebie natrętne myśli, ruszyła w stronę dorożki, gdzie czekała Pelagia, służąca, która towarzyszyła jej w czasie wypraw do Cytadeli.

Wiatr wzmagął się, a deszcz uparcie siąpił. Dziewczyna wierzchem dłoni wytarła wilgotne oczy.

2.

Kiedy fiakier zatrzymał się przed bramą eleganckiej kamienicy w Alejach Ujazdowskich, panowała już ciemność, ale na szczęście przestało padać. Rozmiękła od wilgoci ziemia i kałuże na Zakroczymskiej sprawiły, że podróż trwała dłużej niż zwykle i Leontyna zaczęła się denerwować, choć wiedziała, że pora powrotu nie ma znaczenia – matka i tak będzie się złościć. Oficjalnie z powodu marnowania czasu i odrywania Pelagii od domowych zajęć, a naprawdę dlatego, że córka śmiała pojechać do narzeczonego bez pozwolenia.